

Kryzysowa Ukraina

Tekst i zdjęcia Tomasz Kułakowski

Ukraińcy starają się przeczekać kryzys, wypatrując wyborów prezydenckich. Historia nauczyła ich walczyć o przetrwanie w najtrudniejszych momentach.

Na bazarze nieopodal dworca kolejowego w Kijowie kobiety i mężczyźni handlują czosnkiem, kiszoną kapustą, pestkami słonecznika i dyni. Opatulone w chusty babuszki nawołują klientów, wyprzedając część swoich przetworów. Przy dworcu kolejowym kwitnie szara strefa, której nie obejmują makroekonomiczne raporty renomowanych zachodnich instytucji finansowych. Ukraińcy wypracowali zdolność do przetrwania, choć kryzys gospodarczy dał się we znaki prawie każdej rodzinie, jak kraj długi i szeroki, prozachodni i prorosyjski.

– Kryzys jest. Ludzie mniej jeżdżą taksówkami. Dlatego dla mnie najważniejsze, by mieć klienta, nawet za mniejszą stawkę za przejazd – tłumaczy kijowski taksówkarz.

Denerwuje go, że żyje w „rewolucyjnym kraju”, gdzie prawie przez cały rok na majdanach ktoś na zmianę rozbija i składa miasteczka namiotowe. Protesty społeczne przybierają na sile. Ludzie już nie za pieniądze partii, lecz z własnej inicjatywy wychodzą na ulice. Domagają się powrotu z przymusowych urlopów bezpłatnych, obniżenia cen żywności i produktów przemysłowych, możliwości zlikwidowania przed terminem depozytów bankowych i ustabilizowania kursu hrywny. Żądają od państwa, by pomogło im w spłacie kredytów konsumpcyjnych i hipotecznych, branych często „na hurra”, by odreagować siermiężne czasy komunizmu. Bo chcieli mieć zagraniczny samochód czy po prostu polecieć z rodziną do ciepłych krajów.

Kryzys polityczny

Najgorzej mają jak zwykle najbiedniejsi. To oni wyprzedają swój skromny dobytek na bazarach i ulicach. Państwo nie jest w stanie zapewnić im opieki socjalnej. Pomoc rządu nie powinna polegać na tym, że wszyscy mają tańszy gaz, kiedy idą wybory, lecz na zapewnieniu zasiłku, renty czy emerytury, a także na próbach podwyższenia tych świadczeń.

Taksówkarz mija plac Niepodległości, gdzie ponad cztery lata temu rozegrała się pomarańczowa rewolucja. Teraz protestuje się tu przeciwko wszystkim politykom. „*Het' usim!*” („Precz ze wszystkimi!”) – krzyczą transparenty z wymalowanymi dużymi miotłami.

– Ciągłe pikietują, ale dzięki temu i ja zarabiam. Przecież po tych wszystkich naszych rewolucjach ludzie łapią taksy i rozjeżdżają się do domów – mówi kijowski przewoźnik.

Ostatnie kilka miesięcy to dla Ukraińców istny koszmar. Na wykańczający kryzys polityczny nałożył się kryzys gospodarczy, na ten zaś konflikt gazowy z Rosją. Ukraińcy mówią, że nie włączają wieczornych wiadomości, bo tylko słyszą i widzą, jak opozycja opluwa koalicję, premier prezydenta – i na odwrót.

Od prawie pięciu lat Ukraina znajduje się w stanie permanentnej kampanii wyborczej. Spór na szczytach władzy zaczął się tuż po pomarańczowej rewolucji, kiedy to odchodząca władza upodobniła system polityczny do prezydencko-gabinetowego. Centrum władzy przeniesiono do rządu, jednocześnie zakłócając równowagę między głównymi organami władzy państwowej. We wrześniu 2005 roku doszło do demontażu pomarańczowego obozu i dawni koalicjanci z otoczenia Juszczenki zaczęli się publicznie opluwać. Po wyborach parlamentarnych z 2006 roku do władzy powrócił Wiktor Janukowycz, okrzyknięty podczas wyborów prezydenckich

prorosyjskim wrogiem Ukrainy i Zachodu. Ponadto oliwy do ognia dołało przejście na stronę Janukowycza Ołeksandra Moroz, sojusznika pomarańczowych z okresu bezkrwawego przewrotu. Zamiast tworzyć koalicję z Blokiem Julii Tymoszenko i proprezydencką Naszą Ukrainą, Moroz – w opinii społeczeństwa – zdradził i przyłączył się do rządu Janukowycza. Powstała koalicja, która zgodnie z ukraińską tradycją rozpoczęła przekupywanie deputowanych. Celem było stworzenie konstytucyjnej większości, by jeszcze bardziej osłabić urząd prezydenta. Juszczenko jednak do tego nie dopuścił i w kwietniu 2007 roku rozgonił dekretem Radę Najwyższą. Tak zrodził się następny pat – w ostatnich latach Ukraińcy już się do nich przyzwyczaili. Jesienią odbyły się kolejne wybory parlamentarne, w wyniku których na szczyt powróciła „żelazna Julia” i rozpoczęła otwartą wojnę z Juszczenką.

Średnia pensja na Ukrainie wynosi w przeliczeniu około 800 złotych, lecz wielu Ukraińców jest zmuszonych do pracy za 500 hrywien, czyli około 250 złotych.

Kryzys finansowy

Ukraina weszła w rok 2008 pełna obaw. Rozbudowana polityka socjalna i brak reform gospodarczych nie wróżyły dobrze. Koalicja miała minimalną większość, więc legislacyjnie niewiele mogła zrobić. Wystarczyła nieobecność dwóch deputowanych, by sparaliżować prace parlamentu. Zresztą Rada Najwyższa zamieniła się w cyrk, w którym każda siła polityczna mogła bez ustanku blokować mównicę. W tych trudnych okolicznościach politycznych późnym latem 2008 roku zaczął się kryzys finansowy. W Kijowie niby nieodczuwalny, ale co rusz ktoś opowiada, że stracił pracę, pada mu biznes, przyjaciel lub kuzyn nie jest w stanie spłacić kredytu za samochód bądź mieszkanie.

To właśnie przytrafiło się właścicielowi małej firmy w Kijowie. Robi meble na zamówienie, klientela zmniejszyła się o połowę, ceny towarów przemysłowych podrożały, a on nie może podnieść stawek, ponieważ zakład i tak świeci pustkami.

Według ukraińskiego Państwowego Komitetu Statystycznego, realne dochody Ukraińców w styczniu zmniejszyły się o 20 procent. Cięcia najbardziej odczuli pracownicy budżetówki oraz branży budowlanej. Średnia pensja na Ukrainie wynosi w przeliczeniu około 800 złotych, lecz wielu Ukraińców jest zmuszonych do pracy za 500 hrywien (około 250 złotych), by utrzymać posadę. W zeszłym roku średnia pensja wzrosła o prawie 19 procent. Jednak 22-procentowa inflacja sprawiła, że zarobki Ukraińców *de facto* skurczyły się o 3 procent. Według oficjalnych danych, tak źle nie było od 1998 roku.

– Rosną opłaty komunalne. W mieszkaniach, dopóki nie przyszła wiosna, grzali na pół gwizdka. Często zdarzało się, że przez jakiś czas nie było prądu i ciepłej wody, miejsca użytku publicznego pracowały przy świetle dziennym, a ludzie w pracy siedzieli w kozuchach i popijali gorącą herbatę – słyszę od mieszkańca Kijowa.

W Ługańsku pod koniec lutego dwieście tysięcy osób zostało odciętych od dostaw wody, bo operator wodociągów zalegał z płatnościami i odłączono mu prąd. Kijowskie metro stało się wręcz ekskluzywnym środkiem transportu. Przejazd podróżą z 50 kopiejek (25 groszy) do 1,75 hrywny (około 85 groszy). To i tak najniższa cena w Europie, jednak dla babuszki handlującej czosnkiem na bazarze – wprost zabójcza. A przecież wiele z tych kobiet przyjeżdża do Kijowa z bogatej w czarnoziemy prowincji, wywozi ze spiżarni własne zapasy i nie jest w stanie przewidzieć, co przyniesie przyszłość.

Na kredyt

Światowy kryzys finansowy spowodował wstrzymanie nowych inwestycji zagranicznych oraz wycofywanie już istniejących z ukraińskiego rynku. Tutejsi przedsiębiorcy z dnia na dzień zaczęli mieć problemy z dostępem do kredytów. Bardzo ucierpiał sektor bankowy, gdyż podobnie jak w Stanach Zjednoczonych ukraińskie banki prowadziły nieodpowiedzialną politykę kredytową. Ukraińcy narzekają na Bank Centralny, którego niekonsekwentna polityka i „testowanie” kryzysu sprzecznymi decyzjami doprowadziły do całkowitego rozchwiania systemu bankowego, a także rynku walutowego i kredytowego. Zaufanie społeczne do instytucji finansowych jest niewielkie.

– Czy to normalne, że każdy mógł przyjść do banku i wziąć kredyt? Wystarczyło pokazać dowód osobisty, a nawet zwykłą legitymację studencką. Ludzie brali pożyczki, nie myśląc o ich spłaceniu. Kupowali telewizory, lodówki, pralki, nowoczesne telefony komórkowe albo lecieli z rodziną do Egiptu – mówi Wiktor Pastuszenko, kijowski dziennikarz i prawnik. Przekonuje, że daje sobie radę, jednak wielu jego znajomych i przyjaciół zaczyna tonąć w długach.

Marian Przeździecki, polski biznesmen mieszkający w Kijowie, twierdzi, że ukraińskie społeczeństwo nie było przygotowane do korzystania z dóbr kapitalizmu, takich jak kredyt.

– Ukraińcy kupowali rzeczy zupełnie niepotrzebne. Przedsiębiorcy, nawet ci z małego i średniego biznesu, pierwsze zarobione pieniądze inwestują w luksusowe samochody. To jest coś, co nas, polskich przedsiębiorców na Ukrainie, bardzo dziwi. Jednak za to Ukraina płaci w tej chwili wysoką cenę – tłumaczy były doradca Kredobanku, ukraińskiej filii PKO BP.

I podaje dane statystyczne, według których od stycznia do października 2008 roku na Ukrainę sprowadzono samochody z Japonii i Europy Zachodniej na kwotę ponad 10 miliardów euro. Teraz salony świecą pustkami, wielu dilerów od grudnia nie sprzedało ani jednego auta. Dane z rynku motoryzacyjnego wskazują, że tak słabych wyników nie było od czterech lat. Coraz częściej słychać natomiast, że ludzie tracą nowe auta, bo nie są w stanie spłacić kredytów.

Problemy ma też ukraińska waluta. Pod koniec ubiegłego roku Ukrainę poratował Międzynarodowy Fundusz Walutowy, przyznając jej 16,5 miliarda dolarów pożyczki. Pierwsza rata, w wysokości 4,5 miliarda dolarów, została wykorzystana przez Bank Centralny na ustabilizowanie kursu hrywny, jednak na niewiele się to zdało. Kolejną część pożyczki Ukraina dostanie, gdy ograniczy deficyt budżetowy i zmieni zapisy nierealnego – zdaniem ekonomistów – budżetu na 2009 rok.

– Znów wróciły czasy, gdy wszystkie ceny nie tylko podaje się w dolarach, ale równie często się nimi płaci – słyszę pod kantorem. Niedawno zdarzyło się, że dolar z dnia na dzień potaniał z 9 hrywien do 8. Ukraińcy marzą, by „baks” znów kosztował 5 hrywien (około 2,5 złotego), ale ekonomiści ostrzegają, że być może trzeba będzie za niego zapłacić nawet 12 hrywien (około 6 złotych).

Ciężko z przemysłem

Złośliwi mówią, że nawet bez światowego kryzysu Ukrainę dopadłaby recesja. Odpowiedzialnością za zależność ukraińskiej gospodarki od zewnętrznych rynków zbytu obarcza się władze. Jednak faktem jest, że dekonunktura na rynkach światowych spowodowała zastój w przemyśle ciężkim. Metalurgia – dająca prawie

Każdy mógł wziąć kredyt. Wystarczyło pokazać dowód osobisty. Ludzie brali pożyczki i kupowali telewizory, lodówki, pralki, nowoczesne telefony komórkowe albo lecieli z rodziną do Egiptu.

40 procent ukraińskiego eksportu – oraz przemysł chemiczny stanęły w miejscu. Siadło także budownictwo, a wraz z nim polskie firmy z tej branży. Liczba zjawisk negatywnych stale rośnie.

Gdy trwała pomarańczowa rewolucja, wschód Ukrainy był dumny ze swojego kandydata z Doniecka, Wiktora Janukowycza. Mówiono, że to lewobrzeżna Ukraina „żywi” prawobrzeżną, że właśnie ciężkie huty stali pracują na biedne rolnicze regiony zachodniej Ukrainy. Dziś sytuacja jest zgoła odmienna. Przemysłowa Ukraina przechodzi zapaść. Industrialny Sojuz Donbasu stracił w 2008 roku około 5 miliardów dolarów. Huty i zakłady metalurgiczne stanęły w miejscu, ludzi odesłano na przymusowe urlopy bądź zwolniono z pracy. Podobnie jest w Zaporozżu – mieście-wizytówce wschodniej Ukrainy. Zaporozstał, gigant metalurgiczny, wygasił piece. AwtoZAZ, właściciel żerańskiego FSO, który słynął ongiś z wypuszczania na radziecki rynek zaporozców, wstrzymał produkcję. Wschodnia Ukraina czeka, aż popyt na metalurgię i wyroby chemiczne znów rozpali piece hutnicze, a wraz z nimi do pracy powróci cały region. Coraz bardziej zauważalną tendencją są też bankructwa hiper- i supermarketów. Przeciętni ludzie nie dostają pieniędzy, więc nie mają za co kupować. Z półek znikają głównie ekskluzywne towary pochodzące z importu.

Politycy na śmietnik

– Bez przesady z tym kryzysem. Samochód mam, benzyna jest, wszystko jest. Tylko drogo! Kryzys to był za komuny. Wtedy nie można było kupić benzyny. A w latach dziewięćdziesiątych co się działo? Jakoś to przetrwamy – mówi Andrij, rencista pod pięćdziesiątkę, dorabiający jako kierowca.

Wielu Ukraińców oburza się z powodu kasandrycznych raportów zachodnich instytucji finansowych, które ostrzegają, że nasz wschodni sąsiad jest prawie bankrutem. W raportach jednak nie uwzględnia się szarej strefy, która nad Dnieprem ma się bardzo dobrze. Okres radziecki nauczył Ukraińców kombinowania, a sztucznie wywołany przez Stalina Wielki Głód z lat trzydziestych – szacunku dla chleba. Po

upadku ZSRR Ukraina również przechodziła trudną drogę i społeczeństwo sobie z tym poradziło. Rozwinął się drobny handel przygraniczny i wewnętrzny, istniała możliwość półlegalnej i nielegalnej pracy w kraju i za granicą, obsiano przydomowe ogródki i działki, a zbiory sprzedawano w miastach. Dziś coraz więcej Ukraińców powraca na bazy, bowiem z hipermarketów wygania ich inflacja. Na bazarze zawsze można coś utargować.

Ukraińcy przyznają, że boją się przyszłości. Tytuły prasowe krzyczą, że Ukraina tonie w długach, zaś kulminację kryzysu mają przynieść miesiące letnie. Nierealny budżet powinien być jak najszybciej zmieniony, bo już brakuje pieniędzy na podstawowe potrzeby, jak wypłaty rent i emerytur, pensji w budżetówce, armii itp.

A na szczytach władzy trwa brudna i brutalna walka. Opozycja pod wodzą Wiktora Janukowycza wylicza potknięcia rządu i wyprowadza ludzi na ulice, premier Julia Tymoszenko za wszystkie niepowodzenia wini prezydenta i jego sekretariat, zaś Wiktor Juszczenko odbija piłeczkę i przekonuje, że to gabinet „żelaznej Julii” jest odpowiedzialny za kryzys. Ktoś wyliczył, że w 2008 roku Rada Najwyższa była najbardziej nieskutecznym organem w historii niepodległej Ukrainy. Przez cały rok parlament obradował w sumie przez dwa miesiące i tydzień, przy czym był w tym czasie głównie areną walk o mównicę. Zaś Wiktor Juszczenko znów próbował rozgonić prezydenckim dekretem deputowanych.

Ukraińcy mają dość. Czekają na wybory prezydenckie, zaplanowane na styczeń 2010 roku. Dla wielu z nich będą to „wybory bez wyboru”, bo trzej główni kandydaci: Janukowycz, Juszczenko i Tymoszenko, „cieszą się” rekordowym brakiem zaufania, rzędu 80 procent, i Ukraińcy chętnie wyrzuciliby ich na śmietnik historii. Mieszkańcy kraju nad Dnieprem liczą, że może młody, trzydziestopięcioletni Arsenij Jaceniuk, do niedawna przewodniczący Rady Najwyższej, coś zmieni. A na pewno wierzą, że nowy prezydent stanie się wreszcie liderem z prawdziwego zdarzenia i – nawet kosztem popularności – przeprowadzi w kraju reformy gospodarcze.

Bowiem po latach gospodarowania krajem pod kątem interesów oligarchów, reformy są niezbędne, by Ukraina powróciła na drogę stabilnego rozwoju i pokazała Unii Europejskiej, że słusznie Warszawa się o nią nieustannie upomina. ❄

Tomasz Kułakowski specjalizuje się w tematyce Europy Wschodniej, jest reporterem Informacyjnej Agencji Radiowej oraz Programu I Polskiego Radia. Współpracuje z krakowskim „Dziennikiem Polskim”, publikował w „Newsweeku Polska”. Autor blogów KryzysowaUkraina.blox.pl oraz Politektowska.blox.pl.